

## Steffen Möller: Vita Classica – wyznania słuchającego inaczej

### xxxv Patos

Kilka miesięcy przed panem Romualdem zmarł jego idol, papież Jan Paweł II. Dla fana klasyki skutki tego wydarzenia okazały się doniosłe.

Sobota, 2 kwietnia 2005 roku, był dniem pogodnym i słonecznym. Po południu wybrałem się po raz pierwszy po zimowej przerwie do parku, by pograć w ping-ponga.

Wieczorem o godzinie pół do dziesiątej siedziałem w bujanym fotelu i słuchałem swojej ulubionej stacji Dwójki. Nagle audycję przerwał komunikat o śmierci papieża Jana Pawła II. Od tej chwili rozbrzmiewała już tylko żałobna muzyka, przy akompaniamencie której czytano wiersze i listy Karola Wojtyły.

Parę minut później zaczęły bić dzwony w pobliskim kościele św. Augustyna. W śródmieściu zawyły syreny. Zdałem sobie sprawę, że uczestniczę w wydarzeniu o historycznym znaczeniu dla Polski.

Założyłem buty i wybrałem się na Stare Miasto. I tu zaskoczenie: normalnie mało który warszawiak się w te rejony zapuszcza; jest to raczej skansen dla turystów. Ale tego wieczora nikt nie miał wątpliwości, że właśnie tam należy skierować swoje kroki.

Po drodze zajrzałem przez szybę do jakiejś restauracji. W środku siedzieli dosyć przygnębieni weselnicy, niektórzy już opuszczali lokal; wokół panny młodej stało kilka kobiet, ona jedyna uśmiechała się szeroko.

Tymczasem wybiła północ. Na Freta i przy barbakanie przelewał się tłum. Ze spontanicznie odprawionej mszy w kościele Dominikanów wylegli właśnie na ulicę harcerze w mundurkach i chustach. Zewsząd słychać było komendy drużynowych: - S 1 zbiórka! S 2 zbiórka!

Wszystkie dzieci ustawiły się w szeregu. Sam nie wiem dlaczego, ale widok tych nocnych, dziecięcych manewrów wzruszył mnie najbardziej tego wieczora.

W barokowym kościele akademickim św. Anny, nieopodal kolumny Zygmunta, trwała kolejna msza żałobna. Paręset osób, które nie zmieściły się do środka, stało na zamkniętym dla ruchu Krakowskim Przedmieściu i śledziło mszę na telebimie.

Podczas modlitwy klękali na gołym asfalcie, po którym na co dzień jeździły autobusy. Obraz na telebimie był niezwykle ostry; kazanie wygłaszał ksiądz w biskupiej mitrze.

Jak się później dowiedziałem, był to nuncjusz apostolski w Warszawie, który w swojej przemowie wymieniał zasługi papieża, spontanicznie, osobiście i bez zająknięcia, bez żadnych kiczowatych patriotycznych formułek. Ilu absolwentów mojej byłej Wyższej Szkoły Kościelnej w Wuppertalu stać byłoby na taką dwudziestominutową improwizację?

Zaraz po kazaniu udałem się do domu. Chłód nocy prawie odmroził mi uszy, więc zatrzymałem taksówkę. Kierowca promieniał ze szczęścia, bo interes tej nocy szedł znakomicie.

Przez cały następny tydzień życie publiczne było sparaliżowane. Do pogrzebu papieża odwołano wszelkie koncerty, mecze piłkarskie i spektakle teatralne. Codziennie w południe biły dzwony. Ogłoszenia na słupach latarni ulicznych zawiadaniały o wolnych miejscach w autokarach, które jechały do Rzymu na uroczystości żałobne. Prasa donosiła, że do Włoch na ostatnie pożegnanie swojego rodaka wybiera się milion Polaków, specjalnymi pociągami albo własnymi samochodami, a nawet na rowerze i autostopem. Wiele anten samochodowych przybranych było kirem, także wystawy sklepowe przystrojono czarnymi akcentami; w parlamencie zwołano nadzwyczajne posiedzenie, z wielu miast nadchodziły postanowienia władz o wzniesieniu pomnika Jana Pawła II. Jeden z moich znajomych, pianista o gorącym temperamentem, przysięgał mi żarliwie, że odkąd usłyszał o śmierci papieża, ani razu nie zaklął i się jeszcze z nikim nie pokłócił. Co chwila otrzymywałem SMS-y nawołujące do tego, by przez kolejne wieczory, w godzinę śmierci papieża, punktualnie o 21.37, wystawiać w oknie świeczkę. Innym razem miała ruszyć procesja na plac Piłsudskiego, wszyscy uczestnicy proszeni byli o ubranie się na biało.

Według mnie najbardziej spektakularne było to, co się działo w alei Jana Pawła niedaleko mojego domu, owej ulicy, która już w 1989 roku została nazwana imieniem zwycięzcy nad komunizmem. Ściągali tu ludzie z całej Warszawy i zamieniali wszystkie tablice z napisem „Aleja Jana Pawła” na ołtarze. Słupki tych sztyldów oplatali kwiatami, a poniżej zapalali znicze, setki, tysiące zniczy. Poczynając od tych sztyldów, utworzył się wkrótce nieprzerwany łańcuch lampek wzdłuż całej alei, ciągnący się około półtora kilometra. W przeddzień pogrzebu w Rzymie tłum ludzi na warszawskiej Alei Jana Pawła był tak gęsty, że policja musiała zamknąć całą tę czteropasmową ulicę, która już nie była ulicą, lecz morzem świateł, tylko dlatego, że nosiła imię papieża.

Mały przedsmak takiej publicznej żałoby miałem w Berlinie przy okazji śmierci Kurta Cobaina w 1994 roku, ale tym razem skala była przeogromna. Uwidocznilo się to, co do tej pory znałem tylko z napuszonych przemówień – „naród”. Ten widok był o tyle niesamowity, że chodziło o naród tych na co dzień tak skłóconych Polaków.

Zacierałem sobie oczy: zupełnie obcy ludzie pomagali sobie w ustawianiu lampek i na koniec ściskali się za ręce; na własne oczy widziałem tę niewiarygodną harmonię, która każdemu narodowi dana jest chyba tylko raz na paręset lat, a wszystko to za sprawą starego, schorowanego człowieka, do którego w trakcie prawie trzydziestoletniego pontyfikatu przylgnął mesjański autorytet. Dziennikarze debatowali już tylko o tym, czy określenia „Jan Paweł Wielki” będzie można używać już przed czy dopiero po kanonizacji.

Poza apelem harcerzy na Starym Mieście wzruszyła mnie jeszcze mała wiadomość w jakiejś gazecie: w tych dniach żałoby nastąpił gwałtowny wzrost liczby samobójstw i ciężkich wypadków drogowych. Socjologowie tłumaczyli to tym, że w czasach, kiedy wypierana zwykle do podświadomości śmierć ujrzała światło dzienne, umieranie stało się dla ludzi łatwiejsze; stracili ostrożność na drodze i waleczność na łóżku szpitalnym. Jeśli nawet taki Karol Wojtyła umarł, to już im się tak nie opłacało walczyć o życie.

Dwójka, moja ulubiona stacja radiowa, puszczała wyłącznie refleksyjną muzykę i zrezygnowała ze wszelkich komentarzy, które nie odnosiły się do papieża. Jedna z redaktorek w programie nocnym wyraziła to kojącym głosem: - Jak to dobrze, że w tym trudnym czasie mamy muzykę, ona daje nam pocieszenie.

Arii operowych w ogóle nie puszczano, zapewne dlatego, że brzmiałyby zbyt wesoło; co ciekawe, również tak zwykle eksponowana muzyka współczesna przestała istnieć na antenie.

Najczęściej rozbrzmiewało *Requiem* Faure'a, a ja zastanawiałem się, co było tego przyczyną. Cechą charakterystyczną tego dzieła był brak burzliwych i emocjonujących kontrastów, które w requiemach Mozarta czy Verdiego odgrywały ważną rolę. Spokojny śpiew chóralny Faure'a brzmiał jak trzydziestominutowa kapitulacja życia przed śmiercią; końcowa część, która nosiła tytuł „In paradisum”, działała jak słodki narkotyk, który zażył cały polski naród, by poczuć większą bliskość z umarłym papieżem.

Mimo mojego zamiłowania do patetycznej, ponurej muzyki stało się to dla mnie zbyt monotematyczne. Muzyka klasyczna sprowadzała się tu jedynie do pocieszyciela. Muzyka miała służyć państwu jak umundurowany policjant, miała spełnić zadanie specjalne. Wszystkie moje ukochane utwory brzmiały nagle grzecznie i bezbarwnie. Dlatego akurat podczas tej najlepszej koniunktury dla mojej muzyki, podczas wielkiego tygodnia żałoby o epickich rozmiarach, przestałem słuchać swojej ulubionej Dwójki.

Po raz pierwszy byłem w stanie zrozumieć ludzi, do których zazwyczaj czułem wielką niechęć: popularyzatorów klasyki. Ich intencje były w gruncie rzeczy bardzo chwalebne. Chodziło im o to, by oszlifować szorstki patos muzyki poważnej i uczynić go bardziej gładkim. Popularyzatorzy chcieli otworzyć okno, by odór śmierci się przez nie ulotnił.

Składali się oni po pierwsze z poważnych muzykologów, którzy luzackim językiem ryzykowali swoją reputację w środowisku naukowym, żeby przyswajać hermetyczną wiedzę seminaryjną dla zwykłego człowieka. „Każda sonata składa się z trzech głównych części – ekspozycji, stres w części środkowej i chill-out pod koniec. (To wszystko może zająć jednak trochę czasu.)” (Christiane Tewinkel: „Czy jestem normalny, jeśli się nudzę na koncercie? Muzyczna instrukcja obsługi, Kolonia 2005). Kolejna grupa to kabareciarze muzyczni, którzy poszli jeszcze o krok dalej. Pokazali, że humor nie musi bać się świętych krów, wybrali szyderstwo zamiast kadzenia, ironię zamiast patosu. Byli to najczęściej szpakowaci mężczyźni, którzy zaistnieli najpierw jako satyrycy, zanim gotowi byli rzucić na szalę swój humorystyczny autorytet dla Mozarta i spółki.

Pierwowzorem takiego artysty był Herbert Feuerstein, były wydawca różnych satyrycznych magazynów. Wraz z Peterem Gammondem już w 1970 wydał *Music-Bluff*. Zamieścił w nim frywolne opisy najważniejszych kompozytorów i pojęć fachowych. „Dworzak był pilnym synem rzeźnika i sam też tak wyglądał”. Albo: „Debussy był krótkowidzem, a że nie chciał nosić okularów, jego zapis nutowy był zawsze trochę zamazany. W ten sposób stał się twórcą muzycznego impresjonizmu”. Po czterdziestu latach i wielu programach kabaretowych siedemdziesięcioletni

Herbert Feuerstein prowadził dziś w całych Niemczech z wielkim powodzeniem koncerty muzyki poważnej.

Innym popularyzatorem był Jörg Maurer, zawodowy pianista. W jednej z monachijskich piwnic kabaretowych rozpropagował niekoniecznie zabawne *opus postumum* Bacha, *Sztukę fugi*. Żeby uczynić temat fugi łatwiejszym do zapamiętania, wymyślił krótki wierszyk, który wystukiwał w rytm muzyki: „Ot-wie-ram lo-dów-kę i wyj-mu-ję ma-sło.”

(W gruncie rzeczy mój ojciec zachowywał się całkiem podobnie, kiedy do słynnej melodii *Niedokończonej Symfonii* Schuberta śpiewał słowa: „Friiieda, skąd przybywasz, dokąd zmierzasz, kiedy wrócisz? Och, Friiiedaaa!”)

Nieco wyższym poziomem niż reszta odznaczał się Konrad Beikirchner, papież niemieckojęzycznych popularyzatorów klasyki. Również on dał się najpierw poznać jako kabareciarz, zanim zaczął wydawać utrzymane w lekkim tonie przewodniki koncertowe. Tak pisze o Paganinim, demonicznym skrzypku i kompozytorze: „Kilka lat później stało się coś, co jako ojciec piątki dzieci uważam po prostu za piękne, a co przez wszystkich biografów Paganiniego traktowane jest po macoszemu: Paganini zostaje ojcem”.

A tak opisuje drugi koncert skrzypcowy h-moll Paganiniego: „Wykorzystanie skrzypiec jest całkowitym zaskoczeniem: Paganini zaczyna najpierw melodyjnie, co jest takie wiolinowe i piękne, czyż nie? Ale potem nadchodzą decymy wspinające się na szczyty przyprawiające o zawrót głowy, saltellati i podwójne flazolety! Ale za to w pierwszej części między solówkami można zagrać na Gameboy’u”.

\*

Parę dni po pogrzebie Karola Wojtyły nowym papieżem został Joseph Ratzinger.

Dowiedziałem się o tym w Warszawie od przypadkowego przechodnia, który podszedł do mnie na skrzyżowaniu Alei Solidarności i Jana Pawła: - Panie Stefanie, gratuluję rodaka! Niech żyje Papa Razi!

Synek protestanckiego pastora po raz pierwszy wtedy usłyszał ten dowcip, uśmiechał się szczerze i grzecznie podziękował.

Zaledwie parę godzin po wyborze przetoczyła się olbrzymia kolumna śmieciarek przez Aleję Jana Pawła, zbierając zwiędłe kwiaty i wypalone znicze. Patetyczny stan wyjątkowy został odwołany. Powracała codzienność, a patos skrył się na powrót za zamkniętymi drzwiami sal koncertowych. Popędziłem czym prędzej do domu, by znów włączyć moją Dwójkę.

I od razu powrócił mój stary gniew na popularyzatorów.

Nie chodziło o to, że brałem im za złe dowcipy na temat klasyki. Czy to miałkie czy niemiałkie puenty – temat jest ciężkawy. Z czego można dowcipkować w przypadku muzyki poważnej – chyba nie z wymuszonego rozciągnięcia reprzyzy u późnego Beethovena! To pozostaje nic innego, niż czepienie się prywatnego życia kompozytorów. Bruckner nosił dziwne wąsiki, Mozart był lubieżnikiem, Beethoven głuchym pijakiem a Dworzak miał twarz rzeźnika.

Był to stary sprawdzony chwyt prasy bulwarowej, ale jeśli dzięki niemu nabija się konto orkiestrom symfonicznym i wydawnictwom muzycznym, to nie mam się co czepiać. Poza tym od razu można było poznać, że wszyscy oni tylko udawali żądnych

sensacji reporterów Faktu. Tak naprawdę byli wrażliwymi erudytami, którzy prywatnie zapewne bojkutowali z zapałem tego typu wydawnictwa. Któż by uwierzył takiemu Beikirchnerowi, że słucha Paganiniego głównie dlatego, że ten diabelsko zdolny skrzypek również był ojcem? Albo że w nudnych momentach jego koncertu skrzypcowego grał na Gameboy'u? Nie, to były wydumane argumenty, by osłabić strach ignorantów przed muzyką poważną. Tak naprawdę Beikirchner też wolał słuchać Brucknera i Wagnera.

Popularyzatorzy mieli podobne założenia co pastory grający sakropop. Tak jak mój babysitter Henning Trübel śpiewał i grał na gitarze „Laudato si, o mio signore”, bo nie chciał serwować małym dzieciom chorałów Bacha, ale mimo wszystko jakoś przybliżyć do religii, popularyzatorzy też byli zakamuflowanymi misjonarzami, pozytywnymi obłudnikami. Tak jak dobrzy belfrzy, odsłaniali swoje pasje tylko na tyle, na ile większość słuchaczy była w stanie to unieść.

Wszystko to mi nie przeszkadzało.

To, co mnie denerwowało, to podział muzyki klasycznej na lekką, kompromisową soft-frakcję i ponurą, ciężką frakcję patosową.

Przekaz popularyzatorów klasyki, do których należały oczywiście też komercyjne stacje radiowe o profilu klasycznym, był taki: klasyka składa się nie tylko z requiem i dziewiętych symfonii, lecz przede wszystkim z pogodnych sonat na flet, wesołych trii harfowych czy erotycznych serenad smyczkowych.

Tak głupia strategia marketingowa była samobójem, który strzelała sobie cała branża, bo przemiłkli krzepiące działanie patosu. Dlaczego zostałem fanem Brucknera? Bo w tej mrocznej muzyce odnalazłem mocną, monumentalną atmosferę, której żadna współczesna muzyka mi nie dała. Jakich uniesień można doznać słuchając *Harolda w Italii* Berlioza; jak wysoko można skakać po mieszkaniu w takt symfonii *Manfred* Czajkowskiego, jak zamasyżycie dyrygować w rytm szerokich fanfar z *Szeherazydy* Rimskiego-Korsakowa – by nie zapomnieć o ekstatycznym pogwizdywaniu do VII symfonii Sibeliusa.

I co wyprawiali popularyzatorzy? Muzyka poważna została przez tych zabawiaczy podzielona na lekką muzę, do słuchania w samochodzie podczas korków, i na depresyjną muzykę pogrzebową, na wesołe walce noworoczne i ciężkie symfonie, zarezerwowane tylko dla niszowego grona posępnych znawców. Tak jakby walce Johanna Straussa nie mogły być na wskroś smutne, a ciężkie Brucknerowskie dźwięki nie wyzwały paradoksalnej radości życia.

Pomimo swoich wielkich starań popularyzatorzy odnieśli jednak sromotną klęskę. Czy ktokolwiek kiedykolwiek został nawrócony do muzyki Beethovena dzięki lekkim anegdotom o jego nieszczęściu u kobiet? W ten sposób nasi weseli erudyci najwyżej mogli zdobyć dusze tych niezdecydowanych słuchaczy, obojętnych, którzy w gruncie rzeczy zawsze i wszędzie chcą słuchać wesołych anegdot i lekkiego popu, czy to Stachurskiego, czy Telemanna.

Natomiast prawdziwy fan popu czy rocka bardzo szybko się orientuje, że taki popularyzator chce z niego zrobić durnia. Zapewne na początku nie bardzo rozumie, dlaczego wrogowie patosu tak strasznie silą się na dowcip. Przecież on sam też nie chodzi na koncerty po to, żeby się na nich porządnie pośmiać. Nikt nie płaci stu euro za koncert Radiohead czy Depeche Mode, bo chciałby się tam uśmieć do łez.

Prawdziwy fan Radiohead szuka patosu, tak jak ja. Być może pragnie go nawet

jeszcze bardziej niż ja. Pobieżny rzut oka wystarczy przecież, by dostrzec, że pop i rock jeszcze mocniej operują patosem niż muzyka klasyczna. Dlaczego ostatni koncert Nirwany transmitowany przez MTV należy do najbardziej legendarnych koncertów wszech czasów? Bo czuć w nim mroczny dotyk śmierci. Także wówczas u Pink Floydów na berlińskim Stadionie Olimpijskim widziałem nie uśmiechnięte, lecz przejęte, melancholijne twarze.

Natomiast popularyzatorzy wybierają z klasyki tylko te utwory, które ich zdaniem mogą konkurować z muzyką rozrywkową. Ujawnia się tu ich żałośnie marne pojęcie o „rozrywce”. Co w końcu oznacza rozrywka w swoim najlepszym wydaniu? Oznacza, że widz albo słuchacz doznaje czegoś rzadkiego, a najrzadsze z uczuć to niewątpliwie dreszcz patosu, nieważne czy wywołany przez finał *Zmierzchu bogów* czy „The show must go on” Queenów.

\*

Złość narosła we mnie do tego stopnia, że podczas pierwszych dni pontyfikatu Benedykta XVI wymyśliłem swoją własną, małą encyklikę – o nowym marketingu muzyki klasycznej.

Po pierwsze: miłośnicy klasyki powinni szczerze mówić, jaka muzyka im się naprawdę podoba, bez żadnych dydaktycznych uproszczeń. Jeśli ktoś słucha w domu *Niemieckiego requiem* Brahmsa, nie powinien publicznie udawać, jakby jego mieszkanie wypełniały ciągle radosne dźwięki *Carmina Burana* Carla Orffa.

Po drugie: nie należy przemilczać, że fan klasyki czuje się czasami jak intruz we współczesnych czasach. Owszem, nie tylko sama muzyka, ale wiele jego koncertowych rytuałów - jak choćby czarne fraki muzyków orkiestrowych - są relikdami odległych czasów. Mimo to prawdziwy fan toleruje te rytuały z przemrużeniem oka, bo pomaga mu myśl, że XIX wiek nie tylko przyniósł frak, ale i romantyczną symfonię. W bezfracznych, luźniejszych czasach taki Anton Bruckner już nie byłby możliwy, bo nie odczuwałby zapewne przymusu do pedantycznej architektoniki swoich symfonii, tylko napisałby czterominutowe przeboje radiowe.

Po trzecie: należy zademonstrować światu paradoksalną radość życia rzekomo smutnych dzieł. Koniec z naiwnym założeniem, że patetyczna muzyka wywołuje negatywne emocje. Patos to radość, a nie chandra. Poza tym żaden inny rodzaj muzyki nie ma do zaoferowania tylu niekiczowatych utworów patetycznych co klasyka. Nie erotyczne tria na harfę czy wesołkowate sonaty na flet stanowią więc kapitał, dzięki któremu muzyka poważna może konkurować z muzyką rozrywkową, lecz właśnie patos – który przez zakłamanych popularyzatorów jest tak gorliwie ukrywany.

Podsumowanie mojej encykliki brzmiało tak: Muzyka poważna jest idealną przeciwwagą dla wolnego od patosu współczesnego życia i banalnej codzienności telewizji. Nowa strategia marketingowa powinna więc polegać na propagandzie patosu – a docierać z tym sloganem trzeba przede wszystkim do dzieciaków w szkole, które klasyki jeszcze nie zaszufłakowały jako „dinozaurowatej”, lecz tęsknią za czymś czystym od komercji a jednocześnie gigantycznym. Właśnie w czasach gier komputerowych i dźwięków komórkowych muzyka klasyczna zyskała nieoczekiwaną szansę stawania się namiestnikiem patosu na ziemi.

\*

Problem polegał na tym, że encyklika ta została na zawsze w mojej wyobraźni. Nie dojrzałem jeszcze do publicznego ujawnienia swoich dziwacznych poglądów. Pograżony w swoim tchórzostwie pocieszyłem się tym, że świat i tak nie stracił zbyt dużo. Czy stacje radiowe oraz redakcje gazet by zmieniały swój „marketing klasyki” tylko dlatego, że jakiś aktor opublikował jakąś encyklikę na portalu „M jak Miłość”? Kto do cholery czyta encykliki?

A poza tym mój pean na temat patosu by się dość szybko zdezaktualizował. Popularyzatorzy wygrają i pokażą mi język, gdy postęp medycyny wyeliminuje śmierć. Wtedy patos straci podstawy swej egzystencji, a smutna muzyka zostanie pozbawiona sensu. Przypuszczalnie przyszli słuchacze symfonii *Pathetique* Piotra Czajkowskiego nadal będą się smucić – ale nie będą wiedzieli, skąd to uczucie pochodzi. Będą studiować z zainteresowaniem programy koncertowe, a tam jakiś specjalista od historii patosu napisze: „Przydomek *pathetique* nawiązuje do przemijalności życia. W czasie powstania tej muzyki, około roku 1890, i jeszcze do XXI wieku, ludzie wiedzieli, że muszą umrzeć – i to sprawiało, że co parę dni potrzebowali pocieszenia, które znajdowali na przykład w słuchaniu muzyki poważnej”.

Czytelnicy przyszłości będą patrzeć na to z takim samym litościwym uśmiechem, z jakim my postrzegamy dziś dary grobowe dla faraonów.